

Blondynka w dżungli



Motyle były wielkie jak talerze. Karaluchy wielkości konia. Moskity krwiożercze i wyposzczone. Dookoła – amazońska dżungla. Mroczna, gorąca i wilgotna.

– Uwważaj na węże – mówi mój indiański przewodnik.

I jaguary – dodaję w myślach. I mrówki.

Mrówek są tysiące. Podążają przed siebie w zorganizowanym szyku, w kolumnach szerokich na kilka centymetrów, jak żywy strumień, którego początku ani końca nie widać. Biegają najpierw po ziemi, potem w górę na drzewa, gdzie wycinają kawałki liści, schodzą po trasie oznaczonej przez zwiadowcę i wracają do mrowiska. Tam liście czyszczą i przeżuwiają, mieszając z własną śliną, potem wypluwają i przygotowują grunt, na którym wyrosną grzyby. I tymi grzybami będą się żywić. To mrówki grzybiarki, zwane też parasolowymi.

Są też inne – czarne, wielkości kciuka, które Indianie nazywają *veinte-quatro*, czyli „dwadzieścia cztery”. To dlatego, że dorosły mężczyzna po ugryzieniu ma przed sobą dwadzieścia cztery godziny życia. Podczas jednej z wypraw widziałam ugryzionego Indianina, który zwijał się z bólu i nie mógł powstrzymać niezwyklej jak dla wojownika wilgotności oczu.

Idziemy dalej. *Veinte-quatro* hasają po gałęziach. Po obu stronach wąskiej ścieżki – liściaste drzewa i krzewy, wszystko splecione razem, od samego dołu po czubki drzew. Jak zielona zapora, przez którą nie można się przebić. I wszędzie liście – świeże na krzakach i zgniłe na ziemi. Wszędzie pnącza i gałęzie, i liście, liście, liście. Cisza.

Gorąco jak w piekle. Wiatr szumi gdzieś wysoko przy wierzchołkach drzew, ale tu na dół nie dociera ani świeży powiew, ani słońce. Mokrą chustką wycieram twarz i szyję. Daleko jeszcze?

– *Quiere descansar?* – pyta mój przewodnik. – Chcesz odpocząć?



Stajemy przy małym strumieniu. Zapas wody pitnej dawno się skończył, więc pijemy tę z rzeki. Można umyć twarz, zwilżyć włosy i szyję, wejść do strumienia w butach, żeby ulżyć nogom.

Kiedy zdjęłam plecak i położyłam się na chwilę, szmer wody przypomniał mi o potrzebie natychmiastowego odejścia w zarośla. Powiedziałam mojemu przewodnikowi, że zaraz wrócę, a on uśmiechnął się ze zrozumieniem, mrugnął, żebym uważała na węże i przymknął oczy.

Poszłam kilkadziesiąt kroków dalej wzdłuż strumienia. Kucnęłam, starając się obserwować jednocześnie ziemię, rośliny i niebo, żeby dostrzec niebezpieczeństwo – węża, pajaka, skorpiona, jadowitą skolopendrę albo armię rozjuszonych mrówek zanim one mnie dostrzegą. Siedziałam cichutko, starając się nie dotknąć żadnej trującej rośliny, a potem wstałam.

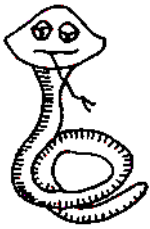
I wtedy zobaczyłam przed sobą człowieka. Stał w odległości kilku metrów, prawie nagi, o czarnych krótkich włosach, z łukiem w rękach. Zamarłam. Świat dookoła też chyba zatrzymał się na chwilę, bo umilkły nagle rozgorączkowane zapachem mojego ciała moskity i trzeszczące w zaroślach cykady. Bardzo, bardzo powoli podciągnęłam spodnie. Pomyślałam, że gdyby ten Indianin chciał mnie zaatakować, pewnie już by to zrobił. Poza tym łuk trzymał z boku, jakby wcale nie chciał z niego skorzystać.

Co robić? Mówić? Milczeć? Odejść? Zostać? Wołać mojego przewodnika? Nie. Nie wołać. Wzbudzić zaufanie. Pokazać, że jestem bezbronna i nie mam złych zamiarów. I wtedy zauważyłam, że Indianin przygląda mi się z pewnym rozbawieniem i nie czuje się chyba w żaden sposób zagrożony, ale wprost przeciwnie. Przechylił głowę i przestąpił z nogi na nogę, uginając jedno kolano. Pomyślałam, że też mogę się poruszyć, więc tak samo przestąpiłam z nogi na nogę i ugięłam jedno kolano. Dotknęłam aparatu fotograficznego, oczami pytając Indianina o zgodę. To najprostszy i najbardziej uniwersalny język świata. Ręce mi drżały, kiedy podnosiłam aparat do oczu. Spust migawki zabrzmiał jak wystrzał. Indianin nawet nie mrugnął. Przez moment odniosłam wrażenie, że to nie człowiek z krwi i kości, ale wytwór dżungli, jeden z jej nieodłącznych elementów, takich jak drzewa, cierniste pnącza i liście. Dotknęliśmy się jeszcze raz oczami i wtedy zrozumiałam, że dane nam będzie kiedyś znów się spotkać. Żadne z nas nie wiedziało, kiedy i w jakich okolicznościach miałyoby to nastąpić, ale w tamtej chwili połączyło nas coś niewytłumaczalnego, co mogłabym jedynie nazwać przeznaczeniem.

Kiedy wróciłam do mojego przewodnika, stał już gotowy do drogi.

– Schowaj aparat – powiedział. – Za godzinę będziemy w wiosce. Indianie nie lubią, kiedy robi im się zdjęcia. Znowu fotografowałaś motyle?

– Tak – powiedziałam. – *Así es*. Były wielkie jak talerze.







Diabelska laguna

Pewnego koszmarnego lipcowego dnia przybiliśmy do osady Indian Piaroa nad brzegiem Orinoko. Każdy normalny, zdrowy człowiek zachwyciłby się tym widokiem: wioska leżała na łagodnym kamiennym wzniesieniu niedaleko dużej laguny otoczonej dżunglą. Słońce stało nisko, rzucając na wodę ciepłe, pomarańczowe promienie. Zarejestrowałam ten piękny obraz oczami, ale sercem byłam bliżej mojego żołądka, który z bliżej niewyjaśnionych powodów urządzał sobie w moich wnętrznościach dzikie i bolesne harce. Kiedy łódź po wielu godzinach jazdy w końcu się zatrzymała, z ulgą z niej wypęzłam, żeby się położyć na stałym lądzie.

Zrobiłam nie więcej niż dziesięć kroków, gdy dopadła mnie horda złaknionych świeżej krwi moskitów. Machanie rękami nie dało żadnego efektu. Moskity odstraszone od twarzy wpijają się w nogi i odwrotnie. Płynny zniechęcający owady są naprawdę skuteczne wtedy, gdy człowiek się w nich wykąpie, co w warunkach obozowych nie jest możliwe. Tamtego dnia, mając do wyboru śmierć od wygłodniałych trąbek komarzyc albo powrót na łódź, wybrałam to drugie. Wpełzłam znowu na pokład. Komary za mną. Sięgając do plecaka słyszałam ich rozochoczone bzyczenie, gdy nagle stał się cud. Z odkręconej butelki wydobyła się tak ostra woń amoniaku, że wszyscy zatrzymali się w pół kroku – zarówno Indianie, jak i atakujące moskity. Dla porządku dodam, że nie był to czysty amoniak, ale roztwór przygotowany do walki z owadami.

Wysmarowałam się wszędzie tam, gdzie tylko pozwolił mi sięgnąć zwinięty w pięść żołądek i zaczęłam szukać dla niego najwygodniejszej pozycji. Nogi w dół, do góry, zgięte, wyprostowane, moczone w rzece, suszone na dachu, twarzą do słońca, w cieniu, z rękami na brzuchu i bez – nic nie pomagało. Wyjęłam hamak z moskitierą i znów zeszałam na ląd. Gdzie by się tu rozwiesić? Pod cudzym dachem, gdy nie ma właściciela – nie wolno. Między dwiema pierw-



szymi chatami niedobrze, bo w słońcu, a poza tym zatarasowałamby sobą przejście. Pójdę więc tam dalej, na skraj wioski, gdzie zaczyna się dżungla.

Wybrałam dwa drzewa, przywiązałam do nich sznurki na przemian zlewając się potem i dygocząc od zimnych dreszczy. Do tych sznurków przywiązałam hamak, naciągnęłam moskitierę i otrzepałam ręce. Gotowe. Zanurzyłam się wreszcie w przyjaznej kolebce, osłonięta gęstą ciemnozieloną siatką od wszystkiego co lata, w przyjemnym ciepłym cieniu i zamknęłam z ulgą oczy. Wtedy poczułam, że lecę w dół, a na mnie z trzaskiem wali się drzewo. Wskoczyć z hamaka nie można, kiedy człowiek wisi zawinięty w moskitierę jak w kokon. Jedyne więc, co mi przyszło na myśl, to – nie zważając na los moich pleców – wyciągnąć ręce nad głowę. W tych rękach wylądował mi gruby na pół metra pień. Pewnie korzeń był spróchniały. Sprawdziłam wcześniej, czy drzewo mnie utrzyma, ale pchnięcie ręką to co innego niż pełny zwis.

Zrzuciłam z siebie pień, wyplątałam się z moskitiery i tuż obok siebie zobaczyłam rozbawioną twarz.

– *Venga* – powiedział Indianin. – Chodź.

Więc poszłam.

To był *el capitan*, przywódca osady. Z wdzięcznością skorzystałam z jego zaproszenia. Widziałam już w myślach indiańskie szałas, ognisko, w którym ogień jest podsycany także nocą, pieczone dzikie banany...

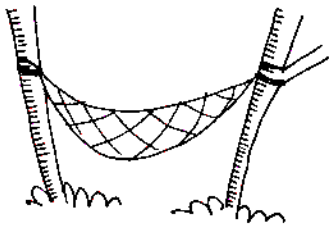
Zatrzymaliśmy się przy sporym betonowym domu. Miał nawet kraty w oknach i dość duży, wystający dach tworzący coś w rodzaju werandy. Spojrzałam tęsknie na chaty kryte liśćmi palmowymi, ale *el capitan* wyjął mi z rąk hamak i powiedział:

– Tutaj pod dachem będziesz bezpieczna. W nocy może padać deszcz.

Pomógł mi przywiązać sznurki do belek i odszedł.

Położyłam się, zamknęłam oczy. Zaczynało już zmierzchać. Kłaskały owady, chlupotała woda przy łodziach, słychać było przytłumione śmiechy i nawoływania dzieci. Zapadałam w nieśmiałą drzemkę, gdy nagle jak prąd elektryczny poraził mnie huk i niespodziewany blask. Rzuciłam się nieprzytomnie naprzód. Grom z jasnego nieba? Nie, to tylko magnetofon ryczący rytmem skocznej salsy i goła żarówka, która nagle zaczęła świecić nad moim hamakiem. Zwinęłam się w kłębek. Zakryłam skarpetkami uszy. Twarz wtuliłam w ubranie tak mocno, że po chwili zabrakło mi powietrza. Ale nic to, pomyślałam, przeczekam. Dochodziła ósma. Lada moment wyłączą generator, bo przecież Indianie chodzą wcześniej spać i wstają o świcie.

Tuż obok mojego hamaka przegalopował tabun rozbawionych dzieci. Co to za ciemnozielone dziwo wisi pod dachem? Przebiegły w jedną stronę, z powrotem, i jeszcze raz, ciągnąc mnie za sznurki. Zerwałam skarpetki z uszu





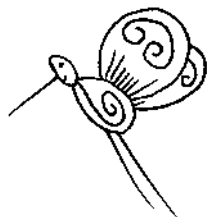
i wepchnęłam je sobie do ust, żeby nie krzyczeć. Jako gość nie mogę przecież pouczać ani wychowywać obcych dzieci. Długo czekałam z zaciśniętymi pięściami. Minęła dziewiąta, dziesiąta, jedenasta...

Obudziłam się zdrętwiała w absolutnej ciszy. Bzykanie komara, który usiłował przebić się do mnie przez moskitierę, wydało mi się przyjaznym świergotem. Było jeszcze ciemno, w oddali nad pasmem czarnej dżungli powoli różowiało niebo. Wskoczyłam z hamaka, odbyłam najszybszą w życiu kąpiel w rzece i równie błyskawicznie zapakowałam się na łódź.

Kiedy odpływaliśmy, słońce nie zdążyło nawet liźnąć promieniami głęboko uśpionej wioski. Na brzegu leżały puszki po piwie i butelki po coli. Dobrodziejstwa naszej cywilizacji, które dotarły tu do Amazonii z turystami i zawojowały dusze tutejszych Indian. Jak bardzo są z tym szczęśliwi, a jak bardzo bezpowrotnie tracą to, co stanowiło o ich życiu przez tysiące lat?

Odpłynęliśmy na południe, w głąb Amazonii, jak najdalej od tego miejsca.

Kiedy się obudziłam, bzykanie komara, usiłującego przebić się do mnie przez moskitierę, wydało mi się przyjaznym świergotem.









Drugie prawo dżungli

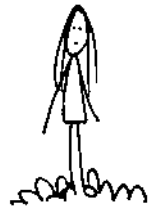


Kilka dni później zacumowaliśmy łódź przy brzegu i weszliśmy w dżunglę. Pierwszej nocy mrówki wygryzły dziury w foliowej torebce i wyniosły z niej po ziarenku ponad pół kilo cukru. Rano zobaczyliśmy czarny migotliwy pochód: mrówka za mrówką z kryształkami na plecach. To mnie nauczyło, żeby jedzenie zawsze szczelnie pakować albo wieszać wysoko na gałęzi.

Drugiego dnia w dżungli przez wiele godzin szłam tuż za naszymi indiańskimi przewodnikami przez bagniste rozpadliny, kolczaste zarośla, szerokie strumienie i śliskie ścieżki, na przełaj przez wodę i błoto. Wieczorem zatrzymaliśmy się, żeby rozbić obóz. Zdjęłam mokre buty i skarpetki – skóra na moich stopach wyglądała jak biały, pomarszczony, wilgotny papier. Chodziłam więc boso po ciepłej ziemi. Rano w pobliżu hamaka znalazłam kilkanaście żywych skorpionów. Cud, że poprzedniej nocy nie nadepnęłam gołą stopą na żadnego z nich. To było ostrzeżenie. Z dżunglą amazońską nie można się zaprzyjaźnić. Trzeba ją szanować i trzeba się jej bać. To jest Pierwsze Prawo Dżungli. Nauczyłam się więc robić leśne sandały z dwóch kawałków kory, które przywiązywałam sobie do stóp lianami.

Trzeciego dnia w dżungli zostałam sama.

Zatrzymałam się, żeby wyjąć kamień, który razem z piaskiem wpadł mi do buta przy ostatniej przeprawie przez rzekę, a kiedy wstałam, po przewodnikach nie został nawet pył. Co robić? Iść dalej, oczywiście. Dźwignęłam plecak (ważył z piętnaście kilogramów, razem z aparatem fotograficznym, zapasem filmów, baterii, magnetofonem i hamakiem) i ruszyłam przed siebie.



Ścieżka w dżungli to ledwie widoczny pasek lekko przydeptanej ziemi. Nie rąbie się maczetą przejścia w największym gąszczu, ale szuka wygodniejszej drogi

i obcina te gałęzie czy pnącza, których nie można łatwo ominąć. Dlatego „ścieżka” to po prostu miejsce w dżungli, identyczne z otoczeniem, też przykryte gnijącymi liśćmi i poprzerastane korzeniami. Wprawne oko dostrzeże, że na „ścieżce” liście leżą trochę bardziej płasko, a korzenie są wyslizgane i mają intensywniejszy kolor. Można też kierować się znakami indiańskimi, czyli pieńkami ukośnie ściętych roślin. Innych drogowskazów nie ma, a poza tym ścieżka lubi się rozdwajać. Wtedy indiańskie znaki robione maczetą rozdwajają się często razem z nią.

Ruszyłam w stronę, w którą – jak mi się wydawało – poszli przewodnicy. Krzaki rosły tu dość rzadko, a kolczaste pnącza nie chwytaly za ubranie. Przyspieszyłam kroku, by po chwili wylądować w gęstej, lepkiej, ciepłej pajęczynie. To jedna z bardziej charakterystycznych rzeczy w Amazonii: pajęcze sieci rozpięte zawsze na wysokości twarzy. Nieważne czy masz dwa metry, czy półtora – pajak przygotowuje sieć odpowiednią do twojego wzrostu. Wyplułam pajęczynę, ale musiałam się zatrzymać: niemożliwe, żeby ktoś tędy niedawno przechodził. Rozejrzałam się. Na gałęzi obok siedział czarny, kilkucentymetrowy pajak i złym okiem spoglądał na resztki sieci oblepiające mi twarz. Liście na ścieżce wydawały się przydeptane, a korzenie wyslizgane, ale musiał je przydeptać i wyslizgać ktoś inny, nie nasi przewodnicy.

– Tomas! – zawołałam. Cisza. – Gregorio!

Cisza.

Odwróciłam się i zaczęłam iść z powrotem do tego miejsca, gdzie wysypywałam z butów piasek i kamienie. Dlaczego przewodnicy nie poczekali? Przecież widzieli nie raz jak łatwo biały człowiek gubi ścieżkę albo wpada w zdradliwe doły przykryte liśćmi. Poza tym nie miałam żadnej broni – jedyną maczetę niosą oni. Przypomniały mi się historie o węzach, które opowiadał mi kiedyś Juan Carlos: niektóre chowają się pod zwalonymi pniami drzew i czekają na ofiarę. Inne czatują na gałęziach wśród liści, a jeszcze inne śpią w słońcu na środku ścieżki. Najważniejsze, żeby jakiegoś węża nie nadepnąć, nie potrącić ani w żaden inny sposób nie zainteresować swoją osobą.

Było gorąco. Ponad trzydzieści stopni w cieniu, wilgotność powietrza sięgająca stu procent, paski plecaka werżnięte w ramiona i w biodra, mokre buty na odparzonych stopach. Zamarzyła mi się butelka zimnej wody...

Strużka potu spłynęła mi po nosie i kapnęła na ziemię. Uświadomiłam sobie, że idę już dość długo i zupełnie nie wiem dokąd. Czy minęłam miejsce, w którym zgubiłam przewodników? Dookoła dżungla, taka jak zawsze, zielonobrazowa, duszna i wilgotna. Gdzie jest ścieżka? Rozglądałam się wyteżając wzrok, ale wszystkie drzewa, krzaki, liście, liany i pnącza wyglądały tak samo niedostępnie i obco.



Wtedy właśnie odkryłam moje Drugie Prawo Dżungli. Spojrzałam za siebie – bo przecież przyszłam tu nie przedzierając się przez gąszcz, ale tak, jak mnie swobodnie przyprowadziły moje własne nogi. Ani za mną, ani przede mną nie

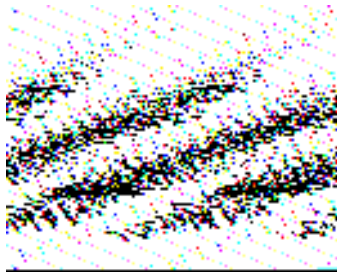


było widać ścieżki. A jednak ona istniała – tuż pod moimi stopami, i tylko tam była widoczna. Patrząc na czubki butów ruszyłam dalej przed siebie.

Kilkadziesiąt metrów dalej zobaczyłam Tomasa i Gregorio – siedzieli na pniu spokojnie na mnie czekając. Usiadłam i ja.

Drugie Prawo Dżungli brzmi: NIE SZUKAJ ŚCIEŻKI, ALE NIĄ PO-DAŻAJ. Nie rozglądaj się, nie próbuj dojrzeć dokąd cię doprowadzi i jakie czyhają na ciebie niebezpieczeństwa. Nie staraj się dowiedzieć jak jest długa i czy wszyscy właśnie tą ścieżką zazwyczaj chodzą. Nie patrz którędy biegnie przez tę wielką, obcą puszcze. Gdy znajdziesz ją pod stopami, po prostu idź naprzód. Tak, jak w życiu.

*Z dżunglą amazońską
nie można się
zaprzyjaźnić.
Trzeba ją szanować
i trzeba się jej bać.
To jest Pierwsze Prawo
Dżungli.*





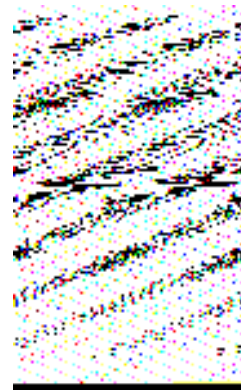
Dżunglę mam w sercu



Dżungla jest mistyczna. Jest w niej coś takiego, co nie daje się wyrazić słowami. Jest w niej to wszystko, co pouciekało z miast i miejsc, które ludzie sobie podporządkowali. Żyje w niej coś tajemniczego, co pozwala ludziom ze sobą obcować, nawet jeśli nie zdają sobie z tego sprawy, bo nie potrafią poczuć tego zmysłami.

W dżungli tak pachnie... Rozbuchaną, skondensowaną, gęstą zielenią, wybuchającymi pnączami, pękającymi od nadmiaru wilgoci liśćmi, gnijącymi korzeniami, słońcem uwięzionym w koronach drzew, dzikimi owocami, których nikt nigdy nie znajdzie i które dojrzewają aż do syta, a potem spadają i rozbijają się na ziemi. Panuje taki półmrok, jakby był dla tych, którzy potrzebują się w tym półmroku schronić. A potem jest taka cisza... Taka cisza, że aż rośnie, i słychać jak w uszach dudni krew. Czasami w tej ciszy nagle krzyknie hocco, czarno-fioletowy ptak o długim dziobie, który zwykle kryje się w gęstwinie. Czasem nie wiadomo skąd w powietrze wzbijają się papugi, zawsze głośno krzycząc, jakby oburzone, że ktoś zakłóca im spokój, wchodząc na terytorium, które uznały za swoje. Na ścieżce wygrzewają się jaszczurki i węże, pod pniami na zmierzch czekają skorpiony i jadowite, drapieżne skolopendry.

Podczas wędrowki przez dżunglę jest wilgotno i gorąco, słońce zatrzymuje się na gałęziach drzew wysoko nad głową i drobnymi cętkami spada na ziemię. Kiedy tylko człowiek przystanie, przylatują do niego krwiożercze muchy, muszki i moskity zwabione zapachem potu i ludzkiej skóry. Kiedy wgryzają się w skórę i piją krew, jednocześnie wstrzykują wirusy, zarazki i pierwotniaki wywołujące śmiertelne choroby. Pot leje się po plecach, po policzkach, z czoła, spływa po nosie i kapie na ziemię. Wysiłkiem jest oddychanie i życie, nie trzeba wykonywać żadnego dodatkowego ćwiczenia, żeby kąpać się we własnym pocie jak w saunie. Noszę na szyi czerwoną chustkę, którą moczę w każdym strumyku



*Liana nazywana przez
Indian bejuco de agua
to naturalna butelka
z czystą wodą do picia*



i ocieram nią pot, aż i ona robi się ciężka i słona. A pot płynie po twarzy, plecach i nogach jak łyż. Ale są to łyż zwycięstwa. Każdy krok i gest, każdy następny pokonany kilometr to nowe życie, niespodziewana dawka siły, którą człowiek odnajduje w sobie, ustanawiając nowy rekord w walce ze słabością ciała.

Idę naprzód zostawiając za sobą ślad z ciężkich kropli krwi kapiących z rozrwanego policzka, ran na rękach i nogach. Ścieżka jest wąska, więc ciągle zaczepiam o kolczaste pnącza, które rozrywają materiał i ludzką skórę. Łatwo się potknąć na śliskich gnijących liściach i korzeniach.

Takich krzyżujących się, błędnych ścieżek jest dużo. Nie wiadomo skąd się wzięły, czy zostały wydeptane przez ludzi czy przez zwierzęta, ani dokąd prowadzą. Dlatego czasem Indianie zostawiają na drodze tajemne znaki. Ścinają maczetą młode drzewa rosnące po obu stronach ścieżki. Zostaje tylko cienki pieńek wysokości pół metra, ukośnie ścięty, zaostroszony na końcu jak indiańska strzała.

Pewnego dnia szłam ścieżką przez dżunglę po bagnach. Trzeba było przechodzić przez rowy, kałuże i strumyki. Podczas wędrowki z ciężkim plecakiem człowiek stara się wykonywać jak najmniej ruchów i iść przez cały czas tym samym tempem i po równej powierzchni. Kiedy na drodze pojawia się rów,

lepiej go przeskoczyć niż schodzić na dno, a potem znów do góry. Skakałam więc przez rowy i rozpadliny, ciesząc się, że łatwiej zrobić jeden duży skoczny krok w powietrzu niż pięć małych z górki i pod górkę. Raz niedokładnie obliczyłam szerokość rowu i przeskoczyłam przez niego odrobinę za krótko, poślizgnęłam się na drugim brzegu i upadłam wprost na cienki pieńek ucięty przez Indian jako oznakowanie ścieżki.

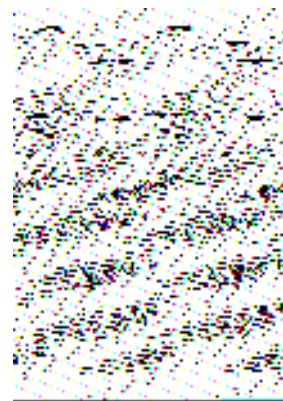
Gdyby nie był dość stary i stępiony na szczycie, wbiłby mi się w samo serce. Poczulałam tylko mocne uderzenie. Od tamtej chwili dżunglę mam w sercu.

Indianie twierdzą, że po dżungli wędrują dusze ludzkie. Czasami jakaś uderzy człowieka pałąk po głowie, wepchnie na drzewo albo podetnie nogi. Nocą widać ich świecące oczy. Wypełniają ciemność razem z duszami umarłych zwierząt, które żyły równoległe z życiem ludzi będących ich lustrzanym odbiciem. W dżungli są też pająki, które czają się na drzewach jak wielkie czarne włochate macki. Są skorpiony z wywiniętymi do góry ogonami i ogromne skolopendry, które potrafią w locie schwytać nietoperza i zabić go paraliżującą trucizną. Są ciche jak sen jaguary i pумы, są gładkie węże przenikające między światem żywych i umarłych, są półmetrowe pijawki spragnione krwi i ropuchy wielkości dzieci.

Czasem dżungla jest czarna jak bagno, nigdzie w okolicy nie ma czystej wody, więc trzeba się myć na skraju trzęsawiska, gdzie ziemia jest nasiąknięta wilgocią, a ślad po stopie napęlnia się czarnym błotem. Czasem po kilku godzinach wędrówki można niespodziewanie stanąć nad cudowną rzeką, gdzie bystro płynie złota woda. Rzeka była chłodna, czysta i wysypana na dnie białym piaskiem. Jaka byłam wtedy szczęśliwa!... Zrzuciłam plecak i wskoczyłam w ubraniu do wody, a Indianie siedzieli na brzegu, przyglądając mi się z ciepłym pobłażaniem. Wiedzieli, że ten godzinny postój będzie nas wieczorem kosztował maszerowanie w szybko zapadającej ciemności, kiedy nie można już dostrzec ani indiańskich pieńków, ani szukać wody w pobliżu obozu, ani palmowych liści na zbudowanie dachu szałas.

Wilgotny, stęchły upał jeszcze bardziej sęzał. Pieką świeżo obmyte wodą skalczenia, które wydzielają zapach cudownej obietnicy krwi, przyciągając złaknione stada owadów. Nie mogę ich zakryć ani opatrzeć, bo gęste, kolczaste zarośla natychmiast zrywają nawet najbardziej starannie założone plastry i bandaże. Przyspieszam kroku, bo czuję, że powietrze zaczyna się robić dziwnie gęste i lepkie.

Słońce znikło. Zatrzymał się wiatr. Jesteśmy jedynymi poruszającymi się istotami, rozpaczliwie zmierzającymi naprzód. Nagle w oddali słyszę granie bębnow. Odległe dudnienie, podobne do huku wodospadu, które szybko się przybliży. Może to samolot, może to pralka automatyczna nastawiona w niebie przez czystego anioła, a może to wioska, która przygotowuje się na nasze przybycie? O nie, jesteśmy przecież w sercu tropikalnej puszczy, wiele kilometrów



od najbliższej osady, samotnie i nieostrożnie rzucając potężnej dżungli wyzwanie i stawiając na szali własne życie.

Dudnienie narasta, zbliża się i nagle na czole czuję pierwsze olbrzymie krople wody. A potem, jakby deszcz już dłużej nie mógł się powstrzymać, zaczyna lać grubymi strumieniami, chłoszcze mnie po twarzy, po rękach, po nogach, siecze lodowatymi biczami, tak jakby chciał ukarać za samowolne wtargnięcie do zielonego piekła. Jest przeraźliwie zimno. Wszystkie dźwięki utonęły w huku tropikalnej ulewy, nie słyszę już nawet własnych myśli. Instynkt podpowiada, żeby uciekać, ale nie ma dokąd. Dżungla roi się od drżących pod uderzeniami wody liści i gałęzi, ja dygoczę z zimna i staram się wykrzesać w sobie choć odrobinę ciepła z rozgrzanej strachem duszy. Nie zatrzymujemy się. Idziemy dalej. Słusznie. Gdybyśmy stanęli, a ulewa wbiłaby nas w ziemię i przysypała lepkiem błotem, nikt nigdy by się o tym nie dowiedział i nikt by nie odnalazł naszych ciał.

Nie ma gdzie się schronić. Ubranie przemoknięte do nitki lepi się do ciała, przeszkadza w ruchach, ocieram twarz z wody, ale to nic nie daje, bo przez cały czas zalewają mnie nowe rozpędzone strugi. Staram się nie stracić z oczu przewodnika, który tak samo skulony jak ja, szuka przez ścianę wody znaków na ścieżce.

A potem nagle chmury miękną. Nie są już szare jak żelazo, napęczniałe z gniewu i nieokrzesane dzikością wydobywającej się z nich wody. Stają się lżejsze i zamiast zwisać nad dżunglą ogromnymi pełnymi deszczu brzuchami, unoszą się ponad korony drzew i odpływają.

Kiedy przestaje lać z nieba, w dżungli pada nadal, ze wszystkich roślin, które na chwilę zatrzymały na sobie krople wody. Krople turlają się coraz niżej i niżej, aż wreszcie, kiedy nie mają się już po czym staczać, spadają na ziemię. To jest druga część ulewy, równie mokra, lodowata i niespodziewana. Trzecia część czeka na gałęziach i liściach. Kiedy przechodzi pod nimi tak nieporadna istota jak człowiek, niechętnie lekko je trącając, poruszając wąs kolczastego pnącza albo cienką jak nitka gałązkę, splecione ze sobą rośliny zsyłają na niego cały swój mokry ładunek. Wystarczy, żeby przemoczyć ostatnią suchą koszulę, która przetrwała bezpiecznie w plecaku.

Wreszcie po południu ktoś daje znak, że tutaj zostaniemy na noc. Wszystko mnie boli. Skórę mam poobcieraną w najdziwniejszych miejscach, bo kiedy padało, a ja niosłam w plecaku kilkanaście kilogramów, ubranie pozawijało się podstępnie i wytarło w skórze krwawe placki. Najbardziej przeszkadzają obtarcia w majtkach.

I wreszcie miejsce, gdzie staniemy na noc. Indianie wyciągają maczety i karczują kolczaste, gęste krzewy. Przewodnik rozpala ognisko z mokrego drewna. Szukam ryżu i puszek z wołowiną. Rozwieszamy hamaki,jemy gorącą kolację przy ognisku i zapadamy w kamienny sen. Niektórzy nie mieli nawet siły, żeby przyjąć po swój talerz. Rano świt, grają cykady, ćwierkają ptaki, świeci słońce. Znowu będzie gorąco.

Po południu Indianin
daje znak, że tutaj
zostaniemy na noc.
Rozwieszamy hamaki,
jemy gorącą kolację
przy ognisku
i zapadamy
w kamienny sen.



